Tom Godwin

Pomocna ręka Boga

(The Helpful Hand of God)

Analog Science Fact & Fiction, December 1961.

Ilustracje: Barberis
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



(Z Encyklopedii Vogariańskiej Wyd. poprawione:

***ŚWIĘCI**: Złoci Święci, właściwa nazwa, Żółci Święci; pogardliwe określenie stosowane przez Vogariańską Państwową Agencję Prasową w odniesieniu do członków Kościoła Złotej Reguły, z powodu ich sprzeciwu przeciwko planowanej wojnie z Alkorią. Patrz: KOŚCIOŁY.*

***KOŚCIÓŁ ZŁOTEJ REGUŁY**: Grupa reakcyjnych fanatyków, którzy opierali się kontroli Państwa i opowiadali się za chaosem społecznym, poprzez propagowanie „Wolności Jednostki". Zostali zlikwidowani w okresie Czystki Jednoczącej, ale dwa tysiące z nich, o co większych możliwościach fizycznych, zostało skazanych na kopalnie księżycowe na Belen Dziewięć. Statek więzienny nigdy nie dotarł na miejsce, i przyjmuje się, ze skazani Święci w nieznany sposób pokonali strażników, a następnie uciekli w odległe zakątki galaktyki.)*

Kane z obojętnym zainteresowaniem obserwował orli profil komandora Y'Nora, patrząc jak Y'Nor wykręca głowę, aby ponownie spojrzeć na chronometr, wiszący na przeciwległej ścianie kabiny dowódcy krążownika.

– Co zatrzymuje Dalona? – dopytywał się Y'Nor, przenosząc swój wzrok na Kane'a. – Czy może powiedział mu pan, że mogę zmarnować cały dzień na czekanie na niego?

– Powinien być tu lada chwila, sir – odparł Kane.

– Nie po to znalazłem Świętych, po tym jak innym nie udało się tego dokonać przez sześćdziesiąt lat, żeby teraz siedzieć z założonymi rękoma i czekać. Już kiedy odlatywaliśmy,

sytuacja na Vogar zbliżała się do absolutnie krytycznej. – Y'Nor ponownie rzucił groźne spojrzenie czasomierz. – Każda godzina, jaką marnujemy na oczekiwanie, oznacza opóźnienie o godzinę naszego powrotu na Vogar… Mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Wydaje się to brzmieć jak rozsądna teoria – zgodził się z nim Kane.

Twarz Y'Nora niebezpiecznie pociemniała.

– Czyżby chciał pan…

Ze znajdującego się na zewnątrz korytarza, dobiegły odgłosy szybkich, głośnych kroków. Przez drzwi wszedł oficer dyżurny Dalon, i zasalutował. Widoczne pod bladymi brwiami oczy, wyglądały jak kawałki lodu, a jego mundur zdawał się wręcz jeżyć od broni.

– Przyszedł tubylec, sir – zameldował Y'Norowi.

Odwrócił się i wykonał ponaglający gest. W drzwiach pojawił się przywódca Świętych, człowiek którego opór musiał przełamać Y'Nor.

Kruchy, białobrody starzec, szurając sandałami ze słomy, wszedł z niepewnością do wnętrza pomieszczenia, a jego zamglone błękitne oczy spoglądały niemal niewidzącym wzrokiem w stronę Y'Nora.

– Podejdź do biurka komandora – rozkazał Dalon, swoim metalicznym tonem.

Starzec posłuchał i zatrzymał się przed biurkiem Y'Nora, ściskając razem ręce, tak jakby próbował powstrzymać ich drżenie.

– Nazywasz się Brenn – powiedział Y'Nor, – i dzierżysz, jak mi się wydaje, imponujące tytuły Głównego Zarządcy Rady Prowincji i Najwyższego Przywódcy Kościoła Złotej Reguły?

– Tak, panie – w głosie Brenna można było dosłyszeć lekkie drżenie. – Witam pana na naszej planecie, szanowny panie, i oferuję panu naszą przyjaźń.

– Rozumiem, że potraficie wytwarzać paliwo Elusium X?

– Tak, panie. Jeden z naszych naukowców, dr Larue, powiedział mi że ten proces leży w naszych możliwościach. My… – Zawahał się. – My wiemy, że nie ma pan wystarczającej ilości paliwa, aby wrócić na Vogar.

Y'Nor zesztywniał w swoim fotelu.

– Co sprawia, że tak myślisz?

– Przedarcie się przez gromadę gwiezdną Wiru, wymaga dużych ilości paliwa… a nawet sześćdziesiąt lat temu złoża rud Elusium na Vogar były już niemal na wyczerpaniu.

Y'Nor krzywo się uśmiechnął.

– To mi coś przypomina… ty musisz być jednym z tych Świętych, którzy aby się tutaj dostać, wymordowali swoich strażników i ukradli statek.

– Nie zabiliśmy żadnych strażników, panie. Prawdę mówiąc, wszyscy oni, w końcu dołączyli do naszego kościoła.

– A gdzie jest statek?

– Aby umożliwić rozwój mechanizacji, musieliśmy pociąć go na części.

– Przypuszczam, że wiesz, że za to zapłacisz?

– Miał przewieźć nas na miejsce kaźni w kopalniach radu. Ale zapłacimy wszystko, czego pan zażąda.

– Pierwsza rata wynosiła będzie tysiąc jednostek paliwa, które ma zostać wyprodukowane tak szybko, jak to tylko jest możliwe.

– Tak, panie. Ale w zamian – stary człowiek stanął nieco bardziej wyprostowany, i zalegająca pod spodem determinacja, nagle ujrzała światło dzienne – musi pan uznać nas za wolną rasę.

– Wolną? Kolonię założoną przez zbiegłych kryminalistów?

– To nieprawda! Nie popełniliśmy żadnej zbrodni, nie uczyniliśmy krzywdy żadnej żywej istocie.

Twarde, zimne słowa Y'Nora, ucięły jego protest.

– Ta planeta jest obecnie własnością Vogar. Wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci, jacy się na niej znajdują, stają się więźniami Państwa Vogariańskiego. Nie życzę sobie żadnego oporu. Dezintegratory tego krążownika, mogą w ciągu kilku sekund zniszczyć miasto, a całą waszą rasę, w ciągu kilku godzin. Czy dobrze zrozumiałeś to, co powiedziałem?

Widoczna część twarzy starego Brenna, zrobiła się zupełnie blada. W końcu odpowiedział przesiąkniętym goryczą głosem, z widocznym strachem, ale również upartą determinacją.

– Zaoferowałem wam naszą przyjaźń. Miałem nadzieję, że zostanie ona przyjęta, ponieważ jesteśmy spokojną, pokojową rasą. Powinienem wiedzieć, że przybyliście tutaj jedynie po to, by nas prześladować i zniewolić. Ale ręka Boga wyciągnie się, aby nam pomóc, i…

Y'Nor roześmiał się, hałaśliwym głosem, brzmiącym niemal jak krakanie vogariańskiego sępa, i uniósł w górę swoją owłosioną pięść.

– To jest, starcze, ręka, wokół której koncentrować się będą teraz wasze modlitwy. Macie w ciągu dwudziestu czterech godzin rozwinąć produkcję paliwa na pełną skalę. Jeżeli zostanie to zrealizowane, to dopóki będziecie bez szemrania wykonywać wszystkie moje rozkazy, dopóty będę odraczał wymierzenie wam kary, odpowiedniej dla zbiegłych przestępców. Jeżeli nie zrobicie tego, czego żądam, to zniszczę wasze miasto dokładnie za dwadzieścia cztery godziny, od tej chwili. A ty zostaniesz publicznie stracony, jako skazany przestępca i wróg Państwa Vogariańskiego.

Y'Nor zwrócił się do Dalona:

– Zabrać go stąd.

– **W**ystraszona potulna owieczka – stwierdził Y'Nor po wyjściu Brenna. – Jutro oznajmi nam, że bardzo długo się modlił, a jego bóg powiedział mu co ma robić, to znaczy że ma ocalić swoją głowę, poprzez wykonanie mojego rozkazu.

– No, nie wiem… – wyraził swoje wątpliwości Kane. – Myślę jednak, że myli się pan co do tego, że jego sumienie tak łatwo się ugnie.

– *Pan* myśli? – spytał Y'Nor. – Być może powinienem panu przypomnieć, że zazwyczaj zdolność do myślenia, charakteryzuje raczej dowódców, a nie ich podchorążych. Nikt pana nie prosi, żeby próbował pan myśleć, w zakresie choćby w minimalnym stopniu przekraczającym, zrozumienie prostych rozkazów.

Kane westchnął w myślach, ze znużoną rezygnacją. Niespodziewane spotkanie z okrętem bojowym Alkorian, spowodowało że vogariański krążownik podryfował przez niezbadaną jak dotąd gromadę gwiezdną Wiru, a ze wszystkich mianowanych oficerów przeżyli jedynie Y'Nor i Kane. Skutki dla wszystkich najbardziej zainteresowanych, okazały się raczej negatywne: przypadkowo odkryto planetę Świętych, a on sam, Kane, został awansowany z funkcji podchorążego, na bardzo ryzykowną, czasową funkcję zastępcy dowódcy.

Y'Nor przemówił ponownie:

– Ponieważ vogariańscy dowódcy nie schodzą ze statku i nie pospolitują się z tubylcami z podporządkowanych planet, pan będzie pełnił rolę mojego reprezentanta. Pozwólmy Brennowi popocić się do jutra, potem uda się pan na spotkanie z nim. Proszę jednak uważnie sobie zapamiętać to, że zarówno w przypadku tego, jak i wszystkich kolejnych kontaktów z tubylcami, czynię pana osobiście odpowiedzialnym za jakąkolwiek porażkę mojego programu.

Następnego popołudnia, na dwie godziny przed upływem ostatecznego terminu, Kane wyszedł na słodko pachnące wiosenne powietrze planety którą Święci nazwali Sanktuarium.

To była dziewicza planeta, bogata w surowce, których potrzebowano na Vogar, z podstawowym zasobem siły roboczej, w postaci dwudziestu tysięcy Świętych. Była to również, jak sobie pomyślał, prześliczna, zielona planeta, wyglądająca niemalże znajomo. Krążownik stał na skraju miasteczka, a w późnym popołudniowym słońcu, małe, białe i brązowe domki nabrały złotej poświaty, na wpół skryte w głębokich, lazurowych cieniach wysokich drzew i pokrytych kwiatami pnączy, które otaczały łagodnie zakręcające ulice.

Kiedy tak spoglądał na zielone miasto, obudził się w nim niepokój. Czuł się niemal jakby cofnął się w czasie, na Zaginione Wyspy, ten izolowany, mały region na Vogar, który uniknął kolektywizacji, aż do chwili kiedy Kane nie ukończył szesnastu lat. Kiedy wylądowały tam siły Jedności Państwowej, panowała mniej więcej ta sama pora roku, wiosna. Tego popołudnia wioski Zaginionych Wysp drzemały sobie spokojnie w słońcu, podobnie jak ta wioska drzemała tutaj…

Wyrzucił siłą z myśli dręczące wspomnienia i daremne niepokoje, jakie one budziły. Minął ozdobiony złotą iglicą kościół, zmierzając w stronę małego domku, niemal całkowicie skrytego w ogrodowych kwiatach i gigantycznych srebrnych paprociach.

Brenn przyjął go w drzwiach, w uprzejmy sposób. Oczy miał pokrążone ze zmęczenia, tak jakby nie spał od wielu godzin. Zaprosił go do środka.

Kiedy już usiedli w prosto umeblowanym pokoju, Brenn spytał:

– Przyszedł pan usłyszeć moją decyzję, panie?

– Dowódca mnie po nią przysłał.

Brenn złożył razem szczupłe dłonie, które wydawały się lekko trząść, w sposób czasami charakterystyczny dla podeszłego wieku.

– Wczoraj wieczorem, kiedy przyszedłem ze statku, modliłem się o poradę, i zrozumiałem, że jedyne co możemy zrobić, to przestrzegać Złotej Reguły: *Czyń innym tak, jak chciałbyś aby oni czynili tobie*.

– Czy to oznacza – spytał Kane, – że spełnicie żądania?

– A czy my, ludzie naszego Kościoła, gdybyśmy znaleźli się bezradni na obcej planecie, pozbawieni niemal zapasu paliwa, czy my również nie poprosilibyśmy o pomoc? Na mocy naszych własnych zasad, naszej Złotej Reguły, nie możemy zrobić mniej, niż jej udzielić.

– Osiemnaście godzin temu poleciłem rozpoczęcie produkcji na dużą skalę, pełnowartościowego paliwa. Nie spałem przez całą noc i cały dzień, kontrolując tę operację.

Kane wpatrywał się w niego zaskoczony, jakim cudem Y'Nor mógł tak dokładnie przewidzieć reakcję Brenna. Próbował w starym człowieku dojrzeć jakieś zmiany, jakieś oznaki strachu o siebie, które musiały złamać go tak szybko, ale jedyne co spostrzegł, to zmęczenie i łagodność.

– Tak dużo paliwa… – zamyślił się Brenn. – Czy Vogar ciągle toczy wojnę z Alkorią?

Kane przytaknął.

– Widziałem kiedyś na Vogar paru alkorańskich jeńców wojennych – powiedział Brenn. – Oni są spokojną, podobną do psów rasą. Nigdy nie chcieli toczyć wojny z Vogar.

No cóż, oni ciągle nie chcieli toczyć tej wojny, ale na Alkorii były rudy Elusium i inne surowce, które Państwo Vogariańskie musiało mieć, zanim będzie mogło zrealizować swoją od dawna hołubioną ambicję podbojów galaktycznych.

– Muszę już iść – powiedział Kane, wstając z krzesła – i zobaczyć, co zrobiliście. Dowódca nie przyjmuje niczyich słów jedynie na wiarę.

Brenn wezwał turbo-samochód, i kierowca zawiózł Kane'a do wielobranżowej fabryki, która była umiejscowiona w niewielkiej odległości za miastem, po jego drugiej stronie. Kierowca zatrzymał się przed głównym biurem fabryki, gdzie czekał już pulchny, łysy mężczyzna. Skóra na jego głowie oraz okulary, świeciły jasno w promieniach słońca.

– Jestem dr Larue, proszę pana – przywitał Kane'a. Jego twarz, w normalnych warunkach, uchodziłaby za dobroduszną. – Ojciec Brenn przekazał mi, że pan jedzie. Jestem do pańskich usług, aby panu pokazać, co tutaj robimy.

Weszli do środka fabryki, gdzie wrzała gorączkowa krzątanina, jak w ulu. Maszyny i urządzenia niepotrzebne do produkcji paliwa, demontowano tak szybko, jak to tylko było możliwe, a ich miejsce zajmowały inne. Robotnicy — aż wyciągnął szyję, aby potwierdzić swoje pierwsze, zdumiewające wrażenie.

Całą załogę fabryki, stanowiły kobiety.

– Sugestia ojca Brenna – wyjaśnił Larue. – Przy tej pracy, te dziewczęta są równie kompetentne jak mężczyźni, a wykorzystanie ich tutaj, pozwala wysłać mężczyzn do innych prowincji, w celu pozyskania surowców. Jak pan wie, nasza populacja jest raczej niewielka, i mocno rozproszona…

Rozległ się trzask, spowodowany przez jakiś stojący w pobliżu duży obiekt, który przechylił się i upadł. Kane instynktownie zrobił krok do tyłu i wpadł na coś miękkiego.

– Och… przepraszam bardzo, proszę pana!

Odwrócił się i zmieszany stanął przed przepraszającym uśmiechem, na ładnej młodej buzi, otoczonej rudymi lokami, które po zderzeniu rozsypały się w nieładzie… i zdumiewająco krótkimi szortami oraz wyzywająco kusej koszulce na ramiączkach.

Podniosła upuszczony wcześniej notatnik i pospieszyła dalej, pozostawiając za sobą lekki obłoczek perfum oraz niepokojące wspomnienie krągłych, opalonych na złoty kolor nóg i płaskiego brzuszka, który odsłonięty był ze wszystkich stron, do maksymalnych granic przyzwoitości.

– Kierowniczka kadr z Beachville – powiedział Larue. – Właśnie się opalała, kiedy przyleciał samolot, żeby ją tu przywieźć i nie miała czasu zabrać ze sobą innego ubrania. Ojciec Brenn mocno nalegał, żeby w tej alarmowej sytuacji, nie tracić ani minuty.

Z hukiem pojawił się dźwig i na jego haku powieszono wielki obiekt, który się przewrócił.

– Nasza główna kolumna klimatyzacyjna – wyjaśnił Larue. – Musimy ją stąd zabrać.

– Pewnie chcecie coś postawić na jej miejscu?

– Och, tak. Musimy mieć więcej miejsca, ale Ojciec Brenn sprzeciwił się planom budowy aneksu, jako wymagającym niebezpiecznie dużo czasu. Jedyną alternatywą było zabranie stąd wszystkiego, co nie jest absolutnie niezbędne.

Kane, wkrótce potem odszedł, zadowolony, że Święci robią to, co obiecał Brenn.

Wyszedł na zewnątrz, z powrotem na wiosenne słońce, gdzie czekał na niego turbo-samochód, i po krótkim przekonywaniu samego siebie, zwolnił kierowcę. Po tak wielu tygodniach spędzonych w przypominającym więzienie statku, z przyjemnością ponownie się przejdzie.

Pomiędzy fabryką a miastem, znajdowało się niewielkie, trawiaste wzgórze, porośnięte drzewami, wznoszące się jak zielona morska fala. Zatrzymał się na jego wierzchołku, w miejscu z którego niemal nie było widać miasteczka, i rozejrzał się po szerokiej dolinie rozciągającej się z przeciwnej strony. Przemierzały ją leniwe cienie, rzucane przez kłębiaste obłoczki, dryfujące po błękitnej kopule nieba, a w górze unosiły się wielkie białe ptaki,

podobne do łabędzi, nawołujące się głosami, brzmiącymi jak śpiew skrzypiec. Wszystko to ponownie przynosiło falę wspomnień z Zaginionych Wysp…

– I vogariański pan spojrzał na swój świat i stwierdził, że jest on dobry!

Obrócił się dookoła, opuszczając rękę na znajdujący się w kaburze blaster, i… spojrzał prosto w zielone, kpiące oczy dziewczyny o płowo-brązowych włosach. Była piękna, w pewien dziki sposób, podobnie jak piękne były lamparty górskie z Vogar, a jej ręka również spoczywała na zatkniętym za pasem pistolecie.

Oczy dziewczyny przeskakiwały pomiędzy jego blasterem a twarzą, z jawnym wyzwaniem.

– Masz ochotę spróbować? – spytała.

Miała na sobie krótką spódniczkę z jakiegoś zgrzebnego materiału, a jej nogi do kolan były zakurzone, jakby miała za sobą długą drogę. Te rzeczy zauważył jedynie mimochodem, bowiem jego wzrok nieustannie wracał do śmiałej, pięknej twarzy. W ciągu dwudziestu lat, przyzwyczaił się do kobiet z Vogar, wyglądających bezbarwnie w noszonych uniformach Partii i w krótko obciętych, po męsku, włosach. Od czasu, kiedy umarła wiosna Zaginionych Wysp, nie widział takiej dziewczyny, jak ta która przed nim stała.

– No, i? – spytała. – Myślisz, że poznasz mnie następnym razem?

Podszedł do niej, a ona obserwowała go z kocią ostrożnością.

– Oddaj mi ten pistolet – rozkazał.

– Spróbuj mi go zabrać, ty vogariańska małpo!

Poruszył się, a chwilę później, ona już siedziała na ziemi z rozbieganymi z zaskoczenia oczyma, podczas gdy on wkładał sobie jej pistolet za pas.

– Opór przeciwko Vogarianom, z bronią w ręku, oznacza karę śmierci – powiedział. – Chyba wiesz, co mogę teraz zrobić?

Poderwała się z płonącym we wzroku wyzwaniem.

– Powiem ci, co możesz sobie zrobić — możesz sobie iść do diabła!

Przez głowę przemknęła mu myśl, że przełożenie jej przez kolano i nabicie paru siniaków, w miejscu gdzie by jej to się najbardziej przydało, sprawiłoby mu sporą przyjemność. Z żalem odrzucił ten pomysł, jako zbytnio naruszający godność, nawet zwykłego podchorążego, i spytał:

– Kim jesteś, i co tutaj robisz z tym pistoletem?

Zawahała się przez chwilę, a potem odpowiedziała z bezczelnym chłodem:

– Nazywam się Barbara Loring. Dowiedziałam się, że wy Vogarianie zażądaliście naszej całkowitej kapitulacji. Zeszłam tutaj ze wzgórz, żeby się temu sprzeciwić.

– Czy tutaj mają się spotkać siły ruchu oporu?

– Chyba nie myślisz, że uda ci się mnie zmusić, żebym to powiedziała.

– Są na to pewne sposoby… ale ja nie mam zamiaru ich stosować. Nie jestem waszym wrogiem.

Wyraz wrogości na jej twarzy lekko zelżał, i spytała go:

– Ale w jaki sposób Vogarianin mógłby nie być naszym wrogiem?

Nie potrafił znaleźć żadnej satysfakcjonującej odpowiedzi na to pytanie.

– Mogę ci to zresztą powiedzieć – oznajmiła. – Nie znam żadnej organizacji ruchu oporu. Mogę ci również powiedzieć, że nie jesteśmy rasą tchórzy, tak jak sobie myślisz, i rzucilibyśmy się do walki natychmiast, jak tylko Ojciec Brenn powiedział by jedno słowo.

– Jak na kogoś, kto mówi z takim respektem o Ojcu Brennie – zauważył, – twoje poprzednie słowa i działania nie wyglądały na bardzo religijne i subtelne.

W zielonych oczach ponownie błysnął ogień.

– Tam, wysoko w Lazurowych Górach, skąd pochodzę, nie jesteśmy specjalnie subtelni, i nam się to podoba!

– A dlaczego nosisz tę broń? – spytał ją.



– Ponieważ na granicach zajmowanych przez nas terenów, pełno jest rogo-samców, niedźwiedzi skalnych, gromojastrzębi, i całego mnóstwa innych wielkich mięsożerców, które nas nie lubią — właśnie dlatego.

– Rozumiem. – Wyciągnął zza pasa jej pistolet i podał go dziewczynie do ręki. – Wracaj do swoich gór, tam gdzie jest twoje miejsce, zanim zrobisz coś, za co zostaniesz zabita.

Czekający niecierpliwie na statku Y'Nor, z ponurym zadowoleniem przyjął wiadomości o zmianie nastawienia Brenna.

– Dokładnie tak jak przewidywałem, co bez wątpienia pan sobie przypomina. Jak długo zajmie im produkcja tysiąca jednostek paliwa?

– Larue oszacował czas na czternaście dni, co najmniej.

Y'Nor stukał swoimi grubymi paluchami o blat biurka, w zamyśleniu spoglądając groźnym wzrokiem.

– Nawet siedem dodatkowych dni, może zmusić Vogar do zaakceptowania warunków pokojowych Alkorian, z powodu braku paliwa. Tubylcy mogą pracować dwa razy ciężej, niż przewidywali to wcześniej. Proszę powiedzieć staremu Brennowi, że daję mu dokładanie siedem dni, od jutrzejszego poranka.

– I proszę wezwać również Dalona i Gravera. Chcę wykorzystać każdego człowieka na tym statku do dwudziestoczterogodzinnej straży i kontroli systemu produkcyjnego w fabryce. Tubylcy nie będą mieli okazji do matactw i sabotażu.

Kiedy następnego ranka Kane wszedł do jego niewielkiego domku, Brenn właśnie siedział, przy zawalonym książkami stole, i coś pisał.

– Nazywają to edyktami – wyjaśnił Brenn, po tym jak go przywitał. – Ale ja nie posiadam żadnych środków do wymuszenia przestrzegania prawa, i tak naprawdę, są to jedynie sugestie.

Brenn popchnął papier w jego stronę. Pismo jedynie nieznacznie różniło się od vogariańskiego.

Vogariańska kontrola i system wartowniczy, jest niczym więcej jak jedynie spodziewanym środkiem ostrożności zapobiegającym sabotażowi. Vogarianie mają być traktowani jako potencjalni przyjaciele, którzy obecnie odnoszą się do nas z podejrzliwością i arogancją, wyłącznie dlatego, że nie rozumieją naszego szczerego pragnienia aby udzielić im pomocy, w każdym zakresie nie wymagającym całkowitej kapitulacji…

Kane uniósł wzrok sponad niedokończonego, zaskakująco pokornego edyktu, a Brenn zapytał go:

– Pański dowódca, proszę pana… czy teraz jest usatysfakcjonowany naszymi działaniami?

– Nie do końca. Za siedem dni od dzisiejszego poranka zdezintegruje miasto, jeżeli do tego czasu nie zostanie wyprodukowane całe paliwo.

– *Siedem… tylko siedem dni*? – Na twarzy Brenna pojawił się wyraz zaskoczonego niedowierzania. – Ale jakże może oczekiwać, żebyśmy wyprodukowali tak dużą ilość paliwa, w tak krótkim czasie?

– Naprawdę nie wiem. Bardzo mi przykro… zaprotestowałbym przeciwko temu, gdyby nie to że nie widzę żadnego sensu nawet w podjęciu takiej próby.

– Siedem dni… – ponownie powiedział Brenn. – Możemy się jedynie modlić, aby Bóg spowodował, żebyśmy zdążyli na czas.

Kane poszedł do fabryki. Wierzchołek wzgórza, na którym spotkał dziewczynę, dzisiaj był pusty, i poczuł lekki cień rozczarowania.

W pozbawionej klimatyzacji fabryce, było niesamowicie gorąco, a zwłaszcza w pobliżu elektronicznych zgrzewaczy. Dziewczyny miały zaczerwienione twarze i wyraźnie było im niewygodnie. Wszystkim, za wyjątkiem rudowłosej, która ciągle nosiła na sobie jedynie skąpy strój do opalania. Uzbrojeni Vogarianie, pomiędzy dziewczętami, wyglądali zupełnie nie na miejscu, i sami się obficie pocili. Kane zapisał sobie w głowie notatkę, żeby polecić wydanie im mundurów tropikalnych.

Znalazł Dalona, czatującego jak wilk, pomiędzy swoimi strażnikami.

– To nie do pomyślenia, aby te kobiety mogły stanowić dla kogokolwiek, jakiekolwiek zagrożenie – stwierdził Dalon. – Ale ja nie mam zamiaru podejmować ryzyka.

Spostrzegł Gravera, Głównego Inżyniera statku, chudego, suchego człowieka, który wydawał się być tak samo pozbawiony emocji, jak maszyny i obwody elektroniczne, będące jego życiem.

– Robią wszystko ze zdumiewającą kompetencją – przyznał Graver. – Ale pomimo tego, moi technicy obserwują ich jak jastrzębie.

Larue nie było w jego biurze. Jego sekretarka, brązowooka kobieta o uderzająco inteligentnym wyglądzie, powiedziała:

– Przepraszam, proszę pana, ale dr Larue musiał na kilka minut udać się z powrotem do miasteczka. Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość?

– Nie, dziękuję – odparł. – Prawdopodobnie właśnie teraz Ojciec Brenn wykonuje za mnie pewną nieprzyjemną pracę domową.

Ponieważ Dalon i Graver wydawali się trzymać sytuację w fabryce mocno w garści, Kane zdecydował się na objazd zewnętrznych prowincji, gdzie wydobywano rudy. Efektywnie zorganizowana fabryka byłaby bezużyteczna, gdyby nie otrzymywała dostaw dostatecznie dużych ilości surowców.

Na podróż inspekcyjną poświęcił aż cztery dni, dużo więcej niż wydawało mu się, że będzie musiał, ale okazało się to niezbędne, ponieważ małe kopalnie Elusium, były mocno porozrzucane w prymitywnym, pozbawionym możliwości transportu terenie, i większość drogi musiał pokonać pieszo. Jedyny helikopter na Sanktuarium zajęty był przewozem rudy, i akurat miał taki harmonogram lotów, że za każdym razem musiałby stracić mnóstwo czasu.

We wszystkich kopalniach kolejne zmiany załogi pracowały przez cale dnie i noce, i prawdę mówiąc obsługiwało je więcej ludzi, niż było to w ogóle potrzebne. Powód tego stanu rzeczy, oraz tego że mężczyźni w milczeniu powstrzymywali swoją wrogość, stał się oczywisty, po podsłuchaniu przez niego pewnego dnia, fragmentu rozmowy pomiędzy dwoma górnikami.

– ...Po co więc my wszyscy tutaj jesteśmy, pomimo że wcale nas tak wielu tu nie potrzeba?

– Mówią, że Ojciec Brenn chciał wysłać wszystkich mężczyzn za miasto, z dala od krążownika, tak by nie było żadnych kłopotów. Wiecie przecież, że gdybyśmy zostali na miejscu, to na pewno by były. Mówią, że chce żeby krążownik wyruszył w drogę, z powrotem na Vogar, a wtedy my będziemy mogli się zająć budową broni do walki z Siłami Okupacyjnymi...

Powrócił wieczorem piątego dnia, z wyznaczonych siedmiu, i przed pójściem na statek, zatrzymał się przed domkiem Brenna. Stary człowiek pracował w swoim ogrodzie, próbując trzęsącymi się rękoma przywiązać pokryte czerwonymi kwiatami pnącze.

Kane zrobił to za niego i starzec powiedział:

– Dziękuję, proszę pana. Czy inspekcja naszego górnictwa, wypadła zgodnie z moimi słowami?

– Dowiedziałem się nawet więcej. Wie pan chyba, że po mniej więcej stu dniach, od naszego odlotu, Y’Nor wróci tutaj z Siłami Okupacyjnymi?

– Tak… Wiem, że takie są jego zamiary.

– Jak rozumiem, kiedy stąd odleci, macie zamiar wyprodukować uzbrojenie. Jeśli myśli pan o dobru swoich rodaków, to proszę im na to nie pozwolić. Nic, co byście zdołali zbudować w ciągu stu dni nie wytrzyma nawet minuty przeciwko dezintegratorom krążownika.

– Wiem – odparł Brenn. – Musimy więc wybierać między krwawym, beznadziejnym oporem albo wieczną niewolą, nieprawdaż? Ale dlaczego jeden z tych czarnych końców miałby spotkać spokojną, pokojową rasę?

Kane zadał logiczne pytanie:

– A dlaczego by nie miał?

– Prawa boskie zawsze były prawami sprawiedliwości i miłosierdzia. Nawet Państwo Vogariańskie nie może ich zmienić.

Pomyślał o tym, w jaki sposób Państwo, w jedno krwawe popołudnie, zmieniło Zaginione Wyspy. Brenn obserwując jego twarz, stwierdził:

– Jest pan zgorzkniały i sceptyczny, mój synu. Ale zobaczy pan jeszcze, że przez nieszkodliwego starego człowieka, może przemawiać prawdziwa mądrość.

– Nie – odparł. – We wszechświecie nie ma sprawiedliwości ani miłosierdzia. Wiem o tym z doświadczenia. Człowiek może wybierać jedynie pomiędzy mniejszym a większym złem. A niemal każde zło jest mniejsze, niż Y'Nor, kiedy wpadnie we wściekłość.

Następnego dnia rano poszedł do fabryki. W środku, gdziekolwiek by nie spojrzał, widział dziewczęta w szortach i kusych bluzeczkach. Miejsce wydawało się kłębić od częściowo jedynie ubranych kobiet. Podszedł do najbliższej tablicy informacyjnej i przeczytał edykt Brenna, sprzed czterech dni:

Ponieważ nadmiernie wysoka temperatura panująca w fabryce powoduje dużą niewygodę i tym samym pogarsza wydajność wszystkich pracowników, oraz ponieważ najwyższa wydajność pracowników będzie niezbędna do wyprodukowania paliwa w tak ekstremalnie krótkim czasie, jakiego nam udzielono, sugeruje się więc, aby do czasu ogłoszenia kolejnego zarządzenia, standardowym strojem roboczym, stały się chłodne stroje do opalania dziewcząt z Beachville. Można je otrzymać, pytając w Dziale 5-A.

Edykt z kolejnego dnia brzmiał następująco:

Niektóre z pań wahały się, czy pójść za wczorajszym edyktem, kierowane uczuciem skromności. Takie podejście jest jak najbardziej godne pochwały. Jednakże, sytuacja jest naprawdę krytyczna i nasze życie zależy od tego, czy uda nam się osiągnąć maksymalny stopień wydajności, a zgrzany, zmęczony robotnik nie pracuje wydajnie. Wasze ciała są dziełami Bożymi — nie należy się ich wstydzić.

Edykt z jeszcze następnego dnia, brzmiał krótko i ostrzegawczo:

NIE CUDZOŁÓŻ.

Vogariańscy strażnicy i inspektorzy, obecnie już w tropikalnych mundurach, ciągle z bronią u pasa doglądali całego terenu, ale ich dawna zimna arogancja, zupełnie zniknęła, a i nastawienie dziewcząt zmieniło się od uprzejmej rezerwy, do śmiechów i przyjacielskich pogaduszek.

Znalazł Dalona w najdalszym kącie, przypartego do narożnika, w dosłownym tego słowa znaczeniu, przez rudowłosą kierowniczkę personelu, która niemal prychała jak kot, mówiąc do niego:

– … A więc opowiedz swojemu dowódcy, jak jeden z twoich ludzi próbował zaczepiać moje dziewczyny, i dostał za to po głowie! Zapytaj go, czy chce aby tutaj produkowano paliwo, czy uprawiano amory! No dalej, zapytaj go! Albo ja to zrobię… Ja sama go o to zapytam!

– Będziesz musiała dopilnować, żeby twoje dziewczęta, nie zwodziły moich ludzi. – Dalon usiłował palcem poluźnić sobie kołnierzyk, z niepokojem na twarzy. – Florence, czy ty chcesz mnie zniszczyć?

– A więc przekaż swoim ludziom, że tutaj obowiązuje pewne przykazanie, w które my wszystkie wierzymy, i jeśli któryś z nich zainteresowany jest czymś więcej niż tylko koleżeństwem i przyjaźnią, to wymaga to wcześniejszego zawarcia małżeństwa.

– *Małżeństwa*? – Dalon niemal wypluł z siebie to słowo, z najwyższym wysiłkiem odzyskał równowagę i sztywno oznajmił: – Moi ludzie są żołnierzami, a nie konkurentami w zalotach. I chcę, aby respektowano ich jako takich.

Odszedł dostojnym krokiem, nie zauważając Kane'a. Dziewczyna spoglądała za nim, gotując się ze złości, i Kane wolał się ulotnić aby znaleźć Gravera.

Grover i brązowooka sekretarka siedzieli w biurze Larue, pochylając razem głowy nad schematem jakiegoś rodzaju urządzenia. Sekretarka wymówiła się i kiedy wyszła, Kane spytał:

– Gdzie jest Larue?

– Zdaje się, że sprawdza przetworniki katalizatorów, sir – odparł Graver w niesamowicie niejasny sposób. – Mar… jego sekretarka właśnie pokazywała mi, w jaki sposób udało im się tak szybko zaimprowizować montaż tak dużej ilości sprzętu. – W zazwyczaj pozbawionych wyrazu oczach Gravera, płonęło dziwne światło. – To jest po prostu niewiarygodne!

– No cóż… Jak pan wie, dowódca nie dał im zbyt wiele czasu do stracenia.

– Sir? Och… Mnie chodziło raczej o jej inteligencję, sir. To zadziwiające, że kobieta może mieć tak dogłębną wiedzę na temat tak złożonego procesu.

Kane poczuł ból narodzin pierwszego czarnego przeczucia.

– Jeżeli nie chce pan zdobyć dogłębnej wiedzy na temat wnętrza więzienia Państwowego – wygłosił ponure ostrzeżenie, – to lepiej niech pan zrzuci ze swojej twarzy ten głupawy uśmieszek i skoncentruje się na swoich obowiązkach. Proszę przekazać Dalonowi, że ten sam rozkaz stosuje się również do niego. I proszę również powiedzieć Larue, że dowódca przypomina mu o tym, że zostało mu już niecałe czterdzieści godzin, na skończenie pracy.

Ponownie zdecydował się wrócić na statek pieszo. W trawie wydeptanych było teraz całe mnóstwo ścieżek, którymi dziewczęta przychodziły do pracy i wracały do domu. W niedużej odległości przed nim, widać było dwie grupy pracownic schodzących z ostatniej zmiany, a między nimi kilku strażników Dalona i techników Gravera. Wszyscy swobodnie o czymś rozmawiali i śmiali się wesoło.

W tym miejscu nikt nie mógł ich dojrzeć na skanerach wizyjnych statku, i donieść Y'Norowi, a nawet pomimo tego, że ktoś ich mógłby obserwować, wysoki, ciemnowłosy, młody strażnik, obejmował ramieniem idącą blisko niego dziewczynę. Wykręciła się z jego uścisku i pobiegła do następnej grupy, gdzie obejrzała się do tyłu, i drażniąc się z nim, uniosła wyzywająco głowę.

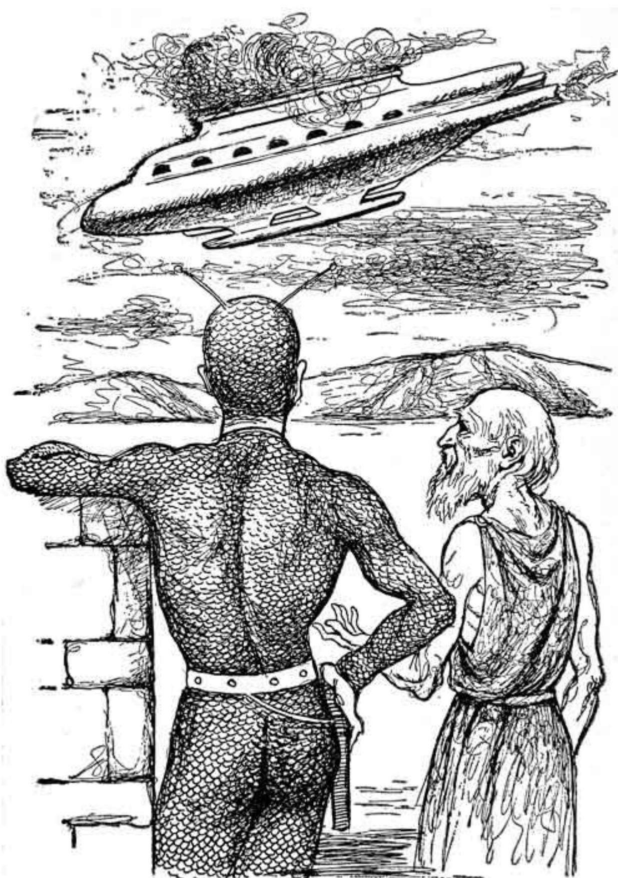
Kane przyglądał się jak obie grupy znikają za wzgórzem, a potem ruszył za nimi, z zamyśleniem mrucząc pod nosem. Czuł, że spokojnie może założyć, o ile w tej sytuacji mogło być cokolwiek spokojnego, że brak dyscypliny, jakiego był przed chwilą świadkiem, był typowy dla większości jego ludzi. Wszyscy byli młodzi i zdrowi, i przez szesnaście godzin na dobę, codziennie, pracowali ręka w rękę z niemal nagimi, prowokacyjnie kobiecymi, dziewczynami z Sanktuarium.

Ich słabość była zupełnie zrozumiała. Była również bardzo niebezpieczna. Gdyby Y'Nor kiedykolwiek dowiedział się o tym, co się dzieje, potoczyłyby się głowy. A nie trzeba było mieć żadnych niesamowitych parapsychologicznych zdolności, do tego aby przewidzieć, czyja głowa potoczy się najszybciej i najdalej.

Musiał to przerwać, i to natychmiast.

Poszedł na skróty do domku Brenna, idąc senną cienistą uliczką, na której nigdy jeszcze nie był. W połowie jej długości znajdowało się jakieś miejsce do jedzenia na otwartym powietrzu, ze stołami porozstawianymi pod drzewami. Wydawało się, że w tej chwili nie ma tam żadnych klientów, ale mimo wszystko zatrzymał się obok, aby przyjrzeć się dokładniej, czy znajdą się tam jacyś zbłąkani strażnicy.

Nad częściowo skrytym pod pobliskim drzewem stołem, zauważył jakąś płowo-brązową głowę, i nagle zorientował się że spogląda na zaskoczoną twarz dziewczyny z gór, Barbary.
– No cóż! – stwierdziła. – Wejdź proszę i pozwól, że poczęstuję cię szklanką cyjanku.
Podszedł do jej stołu. Miała na sobie bluzkę i spódnicę, podobną do tej, w której widział ją w dniu kiedy się spotkali, ale tym razem pistolet gdzieś zniknął.
– Myślałem, że kazałem ci wracać na te twoje wzgórza – powiedział.
– Zdecydowałam, że zabawniej będzie pracować w fabryce i wszystko sabotować.
– Gdyby Y'Nor dowiedział się, że tak mówisz, byłabyś w takich tarapatach, że nawet ja nie mógłbym cię z nich wydostać.
– Czy Vogarianina w ogóle powinno to obchodzić? – Ale kpiąca nuta znikła, kiedy powiedziała: – Kiedy oddałeś mi wtedy pistolet… Myślałam, że to jakaś sztuczka.
– Mówiłem ci, że nie jestem waszym wrogiem.
– Wiem… ale trudno jest Świętemu uwierzyć, że jakikolwiek Vogarianin mógłby być czymkolwiek innym.
– Dziewczętom z fabryki, wydaje się nie sprawiać to specjalnych kłopotów – ponuro zauważył.
– Och… to co innego. – Wykonała ręką gest odsunięcia. – Ci żołnierze i technicy, to w gruncie rzeczy dobrzy chłopcy. Nie przeszli takiego prania mózgu jak wy, oficerowie.
– Z pewnością to bardzo interesujące. Przypuszczam…
Przerwał, ponieważ podeszła do nich siwowłosa kobieta i postawiła na stole tacę z kanapką i kubkiem. Od strony pienistej zawartości kupka, ewidentnie dolatywał aromat piwa.
– Czy wy, Święci, *pijecie*? – spytał z niedowierzaniem.
– Pewnie. A dlaczego by nie?
– Ale wasz kościół…
– Religie pochodzące z Ziemi zazwyczaj zakazywały spożywania alkoholu, uznając go za grzeszny, ponieważ powoduje on że człowiek o słabej osobowości ujawnia swój prawdziwy charakter. Mój kościół jest bardziej rozsądny i zamiast tego woli pracować w kierunku zmiany charakteru człowieka.
Ugryzła kęs z kanapki.
– Stek z niedźwiedzia skalnego… to i piwo doskonale pasują do siebie. Zamówić ci trochę?
– Nie, dziękuję – odparł, myśląc o furii Y'Nora, gdyby dowiedział się, że zjadł sobie przyjemny przyjacielski obiadek, z dziewczyną tubylców. – A co do twojego kościoła… w każdym razie jakiego rodzaju jest to religia?
– Takiego, jak sugeruje to jej nazwa. Niebo nie jest towarem na sprzedaż na ladzie — każdy musi dostać się do niego, dzięki własnym działaniom. Musimy praktykować naszą wiarę. Pobożny wygląd i opowiadanie w kółko o tym jak mocno wierzymy, to się nie liczy.
Zweryfikował swoją opinię o Świętych, a następnie spytał:
– Ale czy ty nie łamałaś waszej Złotej Reguły, kiedy przyszłaś do tego miasta z bronią, aby strzelać do Vogarian?
– Dla Vogarian mamy specjalną formę Złotej Reguły, która brzmi: *Czyń Vogarianom to samo, co oni chcą uczynić tobie, przybywając tutaj*. A wy przylecieliście tutaj, aby nas zniewolić albo zabić. Pamiętasz?
Nie można było temu zaprzeczyć. Kiedy nic nie odpowiedział, uśmiechnęła się do niego. Uśmiech był zaskakująco łagodny i pełen zrozumienia.
– Ty naprawdę chciałbyś zostać naszym przyjacielem, co nie? A więc pomimo wszystko, psycholodzy Państwa nie zrobili dobrej roboty podczas prania twojego mózgu.



Po raz pierwszy od czasu, kiedy skończył szesnaście lat, ktoś mówił do niego z prawdziwą życzliwością. Wywołało to u niego silny przypływ dziwnych uczuć, przede wszystkim wrażenia, że coś wyrasta z jego przeszłości, aby z niego zakpić, zmienił więc temat rozmowy.

– Czy Lazurowe Góry leżą na waszej granicy?

Skinęła głową.

– Z nimi rozciąga się Szmaragdowa Nizina, wielka, szeroka równina. Jeszcze dalej, za nią, znajdują kolejne łańcuchy górskie, których nikt jak dotąd nie zbadał ani nawet nie nazwał. Pewnego dnia, wyruszę w nie…

Kiedy tak sobie miło gawędził z dziewczyną, czas mijał ze zdumiewającą szybkością, i gdy wyruszył w dalszą drogę do domku Brenna, było już późne popołudnie. Wyrzucił z głowy myśli o niej i opowiedział Brennowi o zbyt ciepłych stosunkach pomiędzy dziewczętami a Vogarianami.

– Ale przecież to tylko przyjaźń – łagodząco stwierdził Brenn. – Może pan zapewnić swojego dowódcę, że nie dzieje się nic niemoralnego.

– Gdyby on dowiedział się o tym, co się tutaj dzieje, natychmiast poleciałaby moja głowa. To się musi zakończyć. Proszę napisać edykt… niech pan zrobi cokolwiek, co natychmiast to przerwie.

Brenn w zamyśleniu pogładził swoją białą brodę.

– Bardzo przepraszam, za wystąpienie tej nieprzewidzianej sytuacji, proszę pana. Czy wyda pan również swoim ludziom dokładne rozkazy o tym samym brzmieniu?

– Za fraternizację bez zezwolenia grozi surowa kara. Dopilnuję, żeby dobrze to sobie zapamiętali.

– Natychmiast napiszę kolejny edykt, zabraniający dziewczynom rozmawiania z pańskimi ludźmi.

Kiedy Kane wrócił na statek, Y'Nor krążył niespokojnie po swojej kabinie, a jego twarz była ciemna i wykrzywiona z gniewu.
– Czy pan był ślepy? – dopytywał się.
Kane próbował przełknąć niepokojące uczucie, które urosło mu w gardle, zastanawiając się ile widział Y'Nor, i zapytał:
– Sir?
– Moi strażnicy… moi tak zwani strażnicy… od jak dawna spacerują sobie w okolicach fabryki w towarzystwie kobiet tubylców?
– Och – odparł, czując olbrzymią ulgę, że Y'Nor nie zobaczył prawdziwej sytuacji, – to tylko tak się złożyło, sir, że nałożyły się końce zmiany, i…
– Wie pan chyba, że wojsko maszeruje na służbę i schodzi z niej, w zwartych oddziałach?
– Tak jest, sir.
– Jest pan chyba świadom znaczenia dyscypliny?
– Tak jest, sir.
– Czy jest pan również świadom faktu, że pan, Dalon i Graver, będziecie winni zdrady, jeżeli ten brak dyscypliny w jakikolwiek sposób zagrozi moim planom?
– Tak jest, sir.
– I chyba zna pan karę za zdradę?
– Tak jest, sir.

Kiedy nieprzyjemna rozmowa z Y'Norem, wreszcie się zakończyła, zszedł na dół. Dalton i Graver rozpoczynali właśnie ośmiogodzinny okres odpoczynku, ale ciągle jeszcze nie spali. Siedzieli na swoich kojach, z rozmarzeniem wpatrując się w kosmos. Dopiero z opóźnieniem, niemal z roztargnieniem, zdali sobie sprawę z obecności w drzwiach wejściowych, jego groźnie spoglądającej postaci.
– Przynoszę panom uprzejme pozdrowienia – oznajmił sucho, – osobiście z ust naszego dowódcy. Wieloosobowe szubienice w więzieniu Państwowym, znajdują się nadal w doskonałym stanie, a już specjalnie trzy pierwsze zapadnie…
Wstawał poranek ostatniego dnia, jasny i słoneczny. Poszedł zobaczyć się z Brennem.
– Natychmiast przygotowałem nowy edykt – oznajmił Brenn. – Mam nadzieję, że naprawi on szkody.
– Zobaczmy go – poprosił Kane, i Brenn podał mu odręcznie napisany oryginał. Brzmiał on następująco:

Pomimo panującej wśród nas sympatii dla Vogarian, nie możemy stwarzać dla nich zagrożenia, poprzez rozmowy z nimi. Zostało bowiem wprowadzone zarządzenie vogariańskich władz wojskowych, zabraniające Vogarianom rozmów z dziewczętami z Sanktuarium, z wyjątkiem tych, które są niezbędne do wykonywania obowiązków. Tym, którzy nie zastosują się do tego zarządzenia, grozi surowa kara.
Należy również przypomnieć, surowo dziewczętom z Sanktuarium, a z poważaniem Vogarianom, że ucieczka w niezamieszkałe regiony gór Sanktuarium, grozi egzekucją uciekających par, w przypadku jeżeli komandor Y'Nor kiedykolwiek je odnajdzie.

– Co to ma znaczyć? – dopytywał się Kane, wskazując palcem na ostatni akapit.

– To? Ostrzeżenie, proszę pana.
– Ostrzeżenie? To jest otwarta sugestia!
– Sugestia? – Brenn uniósł ręce w wyrazie wstrząśniętego protestu. – Ależ proszę pana, jak ktokolwiek mógłby nawet pomyśleć…
– Ja osobiście nie powiedziałbym złego słowa, nawet gdyby cała załoga pochorowała się z miłości tak, że nie mogliby jeść. Ale dowódca z pewnością powie, a mój przyszły byt, włączając w to przywilej oddychania, zależy od tego czy utrzymam sprawy zgodnie z jego wolą.
– Dobry Boże — natychmiast każę usunąć ten edykt z tablic ogłoszeniowych!
– Świetny pomysł. To powinno naprawić wszystko, włącznie dzbankiem, teraz, kiedy mleko się już rozlało.

Poszedł do fabryki i zaraz jak tylko wszedł do środka, poczuł atmosferę oburzenia. Dalon pełnił służbę razem ze swoimi ludźmi, i jego wynędzniała twarz, stawała się jeszcze chudsza za każdym razem, kiedy przechodziła koło niego rudowłosa kierowniczka personelu, prowokacyjnie kołysząc biodrami i trzymając wysoko uniesioną głowę, w urażonym, wyniosłym milczeniu. Strażnicy chodzili po swoich trasach w kamiennym milczeniu, a technicy Gravera odzywali się wyłącznie w sprawach służbowych. Nawet dziewczęta nie rozmawiały między sobą, ale miękkie, maślane spojrzenia jakie posyłały Vogarianom, mówiły: *Rozumiemy was* w sposób nawet bardziej wymowny niż cała tyrada słów.
Tak prawdę mówiąc, to chyba zdecydowanie zbyt wymowny. Przez chwilę rozważał plan, aby Brenn zabronił dziewczętom nawet spoglądania na strażników, ale odrzucił go jako nierealny. Przez kolejną chwilę w dzikim popłochu zastanawiał się nad wydaniem rozkazu strażnikom, aby nie patrzyli na dziewczęta, ale odrzucił go również, jako nawet jeszcze bardziej nierealny. W końcu mrucząc pod nosem, poszedł do biura Larue.
Larue siedział przy biurku, z pobrużdżoną ze zmęczenia twarzą.
– To było trudne zadanie – oznajmił, – ale uda nam się dotrzymać terminu.
– To dobrze – odparł Kane. – Czy Brenn dzwonił do pana w sprawie odwołania tego edyktu?
– Ach… którego?
– Którego? To znaczy…
Odwrócił się na pięcie i wybiegł z biura.
Jedna z dziewcząt właśnie usuwała inkryminowany edykt z najbliżej tablicy ogłoszeniowej. Drugi, wydany później, głosił:

Musimy odrzucić jako beznadziejne wysuwane przez niektórych sugestie postawienia żądania, że jeśli już muszą stacjonować u nas siły Okupacyjne, to chcielibyśmy aby stanowili je ludzie, którzy pozyskali sobie nasz szacunek, a u wielu spośród nas nawet i miłość. To jest niemożliwe do osiągnięcia. Kiedy tylko komandor Y'Nor odleci statkiem na Vogar, wybierze tam sobie do sił Okupacyjnych swoich własnych żołnierzy, podczas gdy ci którzy obecnie są pośród nas, zostaną natychmiast wysłani do dalszego prowadzenia wojny z Alkorianami, z której wielu z nich nigdy już zapewne nie powróci.
Nie możemy również protestować przeciwko temu, że podczas tego ostatniego dnia spędzanego między nami, tym ludziom zabroniono rozmawiać z nami, jak również nam nie pozwala się mówić do nich. Nie należy także twierdzić, że to niesprawiedliwe, wobec faktu że żołnierze sił Okupacyjnych komandora Y'Nora, będą mogli swobodnie wiązać się z nami. Te sprawy są całkowicie poza zakresem naszej władzy, i nie mamy żadnej możliwości aby je zmienić. Musimy zaakceptować je jako nieuniknione, i jedynie cichym zachowaniem okazywać

miłość, jaką odczuwamy w stosunku do tych wojowników, których nigdy już ponownie nie zobaczymy.

Kane konwulsyjnie przełknął ślinę, przeczytał edykt jeszcze raz i pośpieszył z powrotem do biura Larue.

– Jak długo wisi już ten ostatni edykt? – zaczął się dopytywać.

– Mniej więcej dwanaście godzin.

– A więc wszystkie zmiany już go widziały?

– Ach… tak. Czemu… czy coś z nim jest nie tak?

– To zależy od punktu widzenia. Chcę aby te obwieszczenia zostały natychmiast usunięte. I proszę powiedzieć temu świętoszkowatemu staremu lisowi, że jeśli przez ten ostatni edykt wyląduję na stryczku, czym prawdopodobnie to wszystko się skończy, to postaram się, żeby w stosunku do niego zastosowano tę samą kurację.

Wrócił do fabryki, i ruszył pomiędzy gołonogie, miękkookie dziewczęta, szukając Dalona. Do uszu doszły mu słowa jednego ze strażników, mówiącego przyciszonym, zgorzkniałym głosem do drugiego:

– … posiedzimy na Vogar może z osiem godzin, i nawet nie pozwolą nam zejść z okrętu, zanim wyślą nas na front. A Y'Nor i jego pieszczoszki z gwardii narodowej wrócą tutaj i zgromadzą sobie swoje haremy…

Znalazł Dalona i powiedział mu:

– Proszę pilnować swoich ludzi. Są niezadowoleni. Niektórzy z nich mogliby nawet zdezerterować, a Y'Nor mówiąc ostatniej nocy o tych przygotowanych dla nas szubienicach, wcale nie żartował.

– Wiem – Dalon poluźnił palcem kołnierzyk na szyi, który z każdą chwilą zdawał mu się robić coraz ciaśniejszy. – Ostrzegłem ich, że siły Okupacyjne w końcu i tak ich dopadną.

Gravera znalazł przy jakimś panelu całym pokrytym tarczami mierników. Brązowooka sekretarka, której oczy były jeszcze ciemniejsze i miały jeszcze bardziej błagalny wyraz, niż wcześniej, właśnie wychodziła od niego, z notatnikiem w ręku.

– Od kiedy to – spytał Kane, – wśród inżynierów rozpowszechniła się praktyka zatrudniania sekretarek do odczytu mierników?

– Ależ, sir, ona sama jest znakomitym inżynierem. Skończyła już swoją papierkową robotę, i pomagała mi w wyszukaniu obwodu, który nieustannie zmienia swoje parametry działania.

Kane podejrzliwie spojrzał na pozbawioną wyrazu twarz Gravera.

– Czy jest pan pewien, że ten właśnie obwód zmieniał parametry?

– Tak jest, sir.

– Czy wie pan, że połowa strażników Dalona wygląda na gotowych do ucieczki ze statku?

– Tak jest, sir. Ale ich niechęć nie charakteryzuje moich techników.

Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że to prawda. A Graver, w przeciwieństwie do wzburzenia Dalona, sprawiał wrażenie spokoju i rzeczowości człowieka, który dogłębnie przemyślał pewne nieprzyjemne sprawy i podjął odpowiednie kroki aby im zapobiec.

– Nie mam specjalnej ochoty, żeby zawisnąć, sir, i przekonałem moich ludzi, że dezercja części z nich to czyste samobójstwo. Postaram się zrobić co tylko możliwe, aby przekonać strażników Dalona do tej samej sprawy.

Przeszedł przez fabrykę, z odbudowanym w dużej części zaufaniem w szczęśliwe zakończenie całej tej historii, i udał się na statek.

Y'Nor ponownie krążył nerwowo po pokładzie, a niecierpliwość wpędziła go w jeszcze gorszy nastrój niż zwykle.

– Statek odlatuje punktualnie o dwudziestej trzeciej piętnaście, czasu Vogar – oznajmił Y'Nor. – Każdy człowiek, który wówczas nie znajdzie się na pokładzie, traktowany będzie jako dezerter i zostanie stracony natychmiast, jak tylko powrócę tutaj z siłami Okupacyjnymi.

Zatrzymał się, aby popatrzeć na Kane'a ze złowieszczym przewidywaniem pająka, który sprawdza złapaną muchę.

– Pomimo że, w razie potrzeby jestem w stanie obsługiwać ten okręt nawet z minimum dwoma członkami załogi, oczekuję, że upewni się pan bez najmniejszej wątpliwości, że wszyscy ludzie będą na pokładzie.

Kane zszedł ze statku, ponownie z mocno podkopanym zaufaniem w przyszłość, i wrócił do fabryki.

Wreszcie nadeszła noc, i pierwszy ochraniany zbiornik z paliwem został w końcu dostarczony na statek. Potem, w miarę upływu godzin, zaczęły jeden po drugim napływać kolejne.

Było już prawie rano, kiedy przyszedł do niego Graver i oznajmił:

– Moje obowiązki, a co za tym idzie obowiązki moich ludzi, są już tutaj zakończone, sir. Czy mamy pójść i przygotować okręt do lotu?

– Tak, zajmijcie się tym teraz – odparł Kane. – Nie dawajcie komandorowi jakichkolwiek pretekstów do jeszcze bardziej szalonego zachowania niż obecnie.

Godzinę później resztki paliwa zostały zatankowane do ostatniej cysterny, którą odholowano z fabryki. Ktoś powiedział:

– To wszystko – i pstryknął wyłącznik. Hucząca maszyna zamarła w milczeniu, a po niej po kolei następne. Panele urządzeń pociemniały. Po minucie wszystkie maszyny były już wyłączone, i wszystkie światła pogasły.

Wysokim i ostrym tonem zadźwięczał gwizdek Dalona dla oddziału strażników. W stronę żołnierzy poleciał zrozpaczony głos którejś z dziewcząt:

– Wracaj szybko, na swój statek, Billy… bo jak tu zostaniesz, to jeszcze dopadnie cię gromojastrząb… – i załamał się w szlochu.

Inna z dziewcząt pocieszała ją:

– Cicho, Julia, to nie jego wina.

Wyszedł z hali fabrycznej i minął biuro Larue. Dojrzał przez okno, że brązowookiej sekretarki nie ma, a jej biurko jest uprzątnięte. Sam Larue jednak nadal był w pracy, wyglądał na bardzo zmęczonego. Nie wszedł do środka. Paliwo zostało wyprodukowane, i miał już nigdy ponownie nie zobaczyć Larue na oczy.

Wybrał ścieżkę, która prowadziła w kierunku miasta. Część gromady gwiezdnej Wiru ciągle była ponad horyzontem, świecąc białym blaskiem tysięcy słońc, a niebo na wschodzie rozjaśniało się już pierwszymi promieniami świtu. Przed nim szło kilkanaście dziewcząt, śpiesząc z powrotem do miasta, ich głosy cicho mamrotały w oddali. Słychać było w nich jakiś cień napięcia, a cała uprzednia wesołość znikła. Krótki tydzień udawania właśnie się zakończył, a następni Vogarianie, którzy tutaj przybędą, będą naprawdę ich wrogami.

Doszedł do wierzchołka wzgórza, tam gdzie spotkał dziewczynę z gór, rozmyślając o niej z irracjonalną tęsknotą, i nagle pojawiła się tuż przed nim.

Znowu u jej pasa wisiał pistolet.

– Poruszasz się równie cicho jak równinny wół – stwierdziła. – Mogłabym cię zastrzelić już z dziesięć razy.

– Czy już jesteśmy w stanie wojny? – spytał ją.

– My, Święci, musimy najpierw pozwolić wam Vogarianom, zabić kilku z nas. To kara dla nas za etyczne zachowanie.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – My, na Zaginionych Wyspach, próbowaliśmy walczyć z tym co nieuniknione. Tego dnia, kiedy nadszedł zachód słońca, połowa z nas była już martwa, a reszta została uwięziona.

– A ty awansowałeś z więźnia na oficera, ponieważ byłeś zbyt dużym egoistą, żeby walczyć o to, co było słuszne.

– Widziałem jak grzebano tych, którzy upierali się przy tym, żeby to robić.

– I chciałbyś, żebyśmy my tutaj, również w pokorze pochylili głowy.

– W żaden sposób nie jestem zainteresowany losem tej planety. Prawdopodobnie nigdy jej już nie zobaczę na oczy. Ale z doświadczenia wiem co stanie się z tobą, i twoimi rodakami, jeśli spróbujecie podjąć walkę. Nie chcę, żeby to się wydarzyło. Czy myślisz, że jeżeli człowiek nie jest ślepym fanatycznym szowinistą, to od razu musi być bezdusznym potworem?

– Nie – odpowiedziała nagle ściszonym głosem. – Ale miałam nadzieję… tego dnia mówiliśmy o górach poza Szmaragdową Niziną i o granicy która ma przetrwać wieki… Ja wiem, to było tylko takie tam gadanie, ale pomyślałam sobie, że kiedy nadejdzie czas na odkrycie kart, ty pomimo wszystko staniesz po naszej stronie.

Wciągnęła głęboki oddech, przychodzący jej z pewnym trudem, a potem powiedziała z lekkością, która wydawała się trochę za bardzo wymuszona:

– Nie myślisz chyba sobie, że przepełnia mnie tylko głupia sentymentalna czułość dla mojej planety, co? To jedyna planeta jaką mam. Być może zdołałbyś to zrozumieć, gdybyś zobaczył Lazurowe Góry wiosną… ale ty nigdy tego nie zrobisz, nieprawda? Ponieważ kłamałeś, kiedy mówiłeś, że nie jesteś moim wrogiem, podczas gdy teraz już wiem, że jesteś, a ja… – lekkość uleciała, a potem zupełnie się załamała – jestem twoim… i następnym razem kiedy się spotkamy, jedno z nas będzie musiało zabić to drugie.

Odwróciła się i zniknęła jak cień pomiędzy drzewami.

Stojąc tam, na wierzchołku wzgórza, który po jej odejściu zrobił się zupełnie cichy i milczący, zupełnie nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Wspominał dzień, w którym po raz pierwszy ją spotkał i jak wtedy łabędzie nawoływały się swoimi pieśniami. Kiedy znowu spojrzał w górę, na niebo, było już złociście jasne na wschodzie, a świecące gwiazdy Wiru znikały, stając się niemal niewidoczne. Popatrzył na zachód, gdzie w oddali wiła się droga wychodząca z doliny, i pomyślał sobie, że może uda mu się ją dostrzec, jak z trudem idzie pod górę, mała i odległa. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że zostało mu zaledwie tyle czasu, by dotrzeć na statek, zanim odleci.

Brenn stał w bramie do swojego ogrodu, obserwując rozpalający się płomień świtu. Wyglądał jeszcze bardziej krucho i bezradnie niż przedtem. Potężna wieża krążownika górowała nad nimi, przesłaniając pół nieba, jak złowrogi omen. Od strony statku słychać było głęboki szum, dobiegający z jego silnika, który znajdował się w fazie wstępnego rozruchu, poprzedzającego start.

– Na dotarcie do statku pozostały panu zaledwie sekundy – stwierdził Brenn. – Zwlekał pan już niemalże zbyt długo.

– Patrzy pan na skończonego głupca – odparł, – który ma zamiar na sto dni wyruszyć w Lazurowe Góry, i dalej poza Szmaragdową Nizinę. Potem zabiją go żołnierze Wojsk Okupacyjnych.

Na twarzy Brenna nie było widać zaskoczenia, ale Kane'owi wydawało się, że starzec uśmiecha się pod brodą. Po raz drugi od czasu kiedy skończył szesnaście lat, Kane spotkał kogoś, kto rozmawia z nim, z łagodnym zrozumieniem.

– Chociaż nie byłeś specjalną pomocą dla moich planów, twoje intencje były dobre. Byłem pewien, że w końcu twoja decyzja będzie właśnie taka. Naprawdę jestem z ciebie bardzo zadowolony, mój synu.

Od strony statku doleciał zgrzyt i rampa wejściowa wystrzeliła w górę, jak chowający się język. Wydawało się, że w czarnym wejściu do śluzy powietrznej coś mignęło, i nagle zamiast niego znajdowała się tam solidna, pozbawiona jakichś charakterystycznych cech, płyta zamkniętych wrót.

– *Bon voyage*, Y'Nor! – zawołał Kane. – Będziemy tu na ciebie czekać z naszymi łukami i strzałami.

– Na statku nie ma nikogo poza Y'Norem – powiedział Brenn. – Graver dopilnował, żeby na pulpicie sterującym w kabinie dowódcy, dla wszystkich stanowisk zapaliły się kontrolki *Ready*, a następnie on i wszyscy pozostali poszli za moją… sugestią.

Kane przypomniał sobie spokój Gravera i wygłoszone stwierdzenie dotyczące jego ludzi: „…dezercja części z nich to czyste samobójstwo".

C*zęści* z nich. Ale jeśli zdezerterowaliby wszyscy, co do jednego…

Kiedy Y'Nor nacisnął przycisk startu, silniki statku zaryczały i statek zaczął się powoli wznosić. Kiedy Y'Nor wcisnął kolejny przycisk, który wzywał do wykonania zadania jakiegoś członka załogi, którego nie było na jego stanowisku, ryk silników zaczął zamierać i ucichł. Statek z potężnym łoskotem poleciał z powrotem w dół, odbił się kapotując i upadł z siłą, która wstrząsnęła ziemią. Leżał martwy, nie dochodziły z niego żadne odgłosy, nie było również widać żadnego ruchu.

Wpatrywał się w cichy, bezsilny statek, stwierdzając ze zdziwieniem że trudno mu sobie wyobrazić, że nie ciąży na nim limit stu dni, że będzie się mógł cieszyć życiem na tej nowej planecie, tym świecie bezgranicznego pogranicza — i Barbarą — aż do naturalnej śmierci.

– Biedny komandor Y'Nor – ironicznie stwierdził Brenn. – Śluza powietrzna jest teraz pod statkiem i żeby go uratować, będziemy musieli wykopać tunel.

– Nie śpieszcie się z tym – poradził Kane. – Pozwólcie mu popocić się przez parę dni w ciemności, z biurkiem owiniętym wokół szyi. Z pewnością bardzo dobrze mu to zrobi.

– Jesteśmy nieszkodliwą i uprzejmą rasą i nigdy byśmy czegoś takiego nie zrobili.

– Uprzejmą? W to jeszcze mogę uwierzyć. Ale nieszkodliwą? Zrobił pan osłów z najlepszych żołnierzy Vogar.

– Proszę, aby nie używał pan takich nieokrzesanych wyrażeń. Ja byłem jedynie instrumentem w rękach większej Siły. Ja tylko… echem… wzmocniłem naturalną sympatię pomiędzy mężczyzną i kobietą, miłość którą sam Bóg chciał na nich sprowadzić.

– Ale czy był pan w zgodzie ze Złotą Regułą? Spowodował pan, że pięćdziesięciu młodych mężczyzn zostało zmuszonych do towarzyszenia, dzień po dniu, kilku setkom niemal nagich dziewcząt. Czy naprawdę chciałby pan, aby to samo zrobiono panu, gdyby to pan był na ich miejscu?

– Czy chciałbym? – W jego oczach pojawił się blask, który raczej nie był spowodowany jasnością poranka. – Ja także byłem kiedyś młody, mój synu. A *ty* jak myślisz?

KONIEC